

Alicja Michałowska

## W DRODZE DO LUBLINA (3)

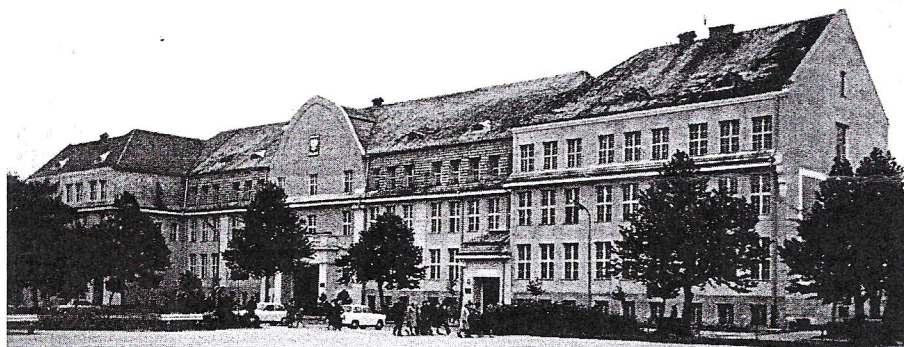
Kołobrzeg był miastem ruin. Toczyły się tu wyjątkowo ciężkie i krwawe walki żołnierzy I Armii Wojska Polskiego z Niemcami o „Festung Kolberg” zakończone 18 marca 1945 roku po dwutygodniowym przełamywaniu oporu wroga. Kołobrzeg był także jednym wielkim cmentarzyskiem poległych. Zginęło tu więcej polskich żołnierzy aniżeli pod Monte Cassino, zaś straty niemieckie przekraczały kilka tysięcy obrońców. Do legendy przeszła śmierć dwudziestoletniej, urodzonej na Wołyniu polskiej fizylierki, podporucznik Emilii Gierczak, która na czele oddziału atakowała niemieckie umocnienia w okolicy stacji kole-

martwe mury przedwojennych kamienic. Obiektem szczególnego zainteresowania mieszkańców i nielicznych kuracjuszy był położony przy plaży (w tym miejscu dzisiaj znajduje się sanatorium „Bałtyk”) wypalony i częściowo zburzony potężny gmach zwany pałacem Goeringa. Faktycznie były to ruiny budynku sanatoryjnego.

Z każdym miesiącem miasto stawało się ładniejsze i ludniejsze. Pojawiali się przybysze z różnych stron kraju, a także repatrianci ze Wschodu i Zachodu. Coraz liczniejsza była grupa osób kreatywnych, niezbędnych do sprawnego funkcjonowania miasta. Lekarzy, architektów, inżynierów, na-

A, B, C i D), ich starszych kolegów (każde z dzieci miało w rączkach bukietki) oraz nauczycieli z kierownikiem szkoły Konstantym Jurkowskim wysłuchaliśmy przemówień, a następnie przekroczyliśmy próg budynku. Ja ze swoją gromadką, 36 uczniów klasy I C ruszyłam do sali lekcyjnej na piętrze. Przedstawiłam się mojej gromadce, sprawdziłam obecność z listy i zaczęło się wzajemne „obwącianie”. Wiele dzieci urodziło się w Kołobrzegu, inne w różnych miejscowościach Wielkopolski, a nieliczne na Kresach. Uczyłam je aż do ukończenia szkoły podstawowej. Z niektórymi, głównie z tymi mieszkającymi w Kołobrzegu, spotykam się w trakcie każdych odwiedzin miasta. Ewa Borowska, Romek Bazylewski, Wiesia Konieczna, Andrzej Hładki, Remigiusz Grochal, Krysia Kowalska, Zdzisiek Sempruch, Zbyszek Kucyga, Ania Gomulka, Lidia Kłopotowska to najczęstsze grono byłych wychowanków, którzy przygotowują spotkania w kawiarniach bądź w plenerze. Z reguły są radosne, ale z nutką nostalgii za dzieciństwem, a ja za młodością. Spotkania trwają długo, a opowieściom o losach nie ma końca. Większość ukończyła studia wyższe, ma dzieci, a nawet wnuki. Czas biegnie szybko, chociaż nie odcisnął widocznych śladów na twarzach. Buzie są nadal gładkie, jak wiele lat temu. Tylko włosy troszkę się posrebrzyły, bądź nieco przerzedziły. A może tylko tak mi się wydaje...

Po jakimś czasie objęłam wychowawstwo klasy I A. Były to dzieci zupełnie inne. Rozkrzyczane, rozbrykane, emocjonalnie nie w pełni uporządkowane. Natomiast intelektualnie nie różniły się od tych z I C. Według moich wieloletnich spostrzeżeń niewątpliwym wpływem ma takie zachowanie wywarły warunki domowe. A mianowicie, były to głównie dzieci obojga pracujących rodziców, którzy umieszczali je w przepelnionych przedszkolach, o słabszym siłą rzeczy oddziaływaniu wychowawczym personelu. Większość uczniów przychodziła do szkoły z kluczami zawieszonymi na szyjach, niekiedy bez śniadania i bez obowiązkowego mundurku. Wymaga-



Szkola Podstawowa nr 3 w Kołobrzegu

jowej. Jej imieniem nazwano w r. 1965 Studium Nauczycielskie, a także jedną z ulic i wmurowano w ścianę dworca PKP tablicę pamiątkową. Wśród gruzów buszowały stada dzikich królików, które na widok człowieka zniknęły błyskawicznie w kryjówkach. Ten posępny pejzaż był podobny do warszawskiego, z tą różnicą, że tam przy usuwaniu skutków bombardowań, artyleryjskich ostrzeliwań i pożarów, obok rzeszy rodaków pracowali również niemieccy jeńcy wojenni. Taki obraz utkwił mi w pamięci, kiedy korzystając z dłuższego postoju pociągu z repatriantami z Wileńszczyzny wyrwałam się z wagonu towarowego na pobliskie ulice stolicy. Tu, 15 lat po wojnie tempo odbudowy wyłącznie siłami skromnej liczby mieszkańców było znacznie słabsze. Nawet w centrum miasta obok ratusza, szkieletu kolegiaty i wieży ciśnień, piętrzyły się

uczycieli, administratorów, ale także plastyków, poetów...

Dzięki poparciu wiceprzewodniczącego Prezydium Powiatowej Rady Narodowej Wojciecha Leźnickiego i wielce zasłużonego dla miasta późniejszego radcy prawnego Zbigniewa Powierzy otrzymałam pracę w Szkole Podstawowej nr 4 im. Bohaterów 1 Armii Wojska Polskiego. Była to nowa Tysiąclatka wybudowana ze składek żołnierzy i pracowników cywilnych Pomorskiego Okręgu Wojskowego. Szkoła była piękna, o ciekawej architekturze, jednopiętrowa, stała w otoczeniu potężnych kasztanowców, które szczęśliwie ominęły pociski i bomby. Uroczyste otwarcie odbyło się 1 września 1960 roku i wziął w nim udział generał Zygmunt Huszcza, dowódca okręgu, a także delegacje żołnierzy i liczni mieszkańcy. To było dla mnie wielkie przeżycie. W otoczeniu tłumy przejętych pierwszoklasistów (klasy

ły z mojej strony strony większej troski oraz częstszych kontaktów z rodzicami. Również z nimi bywam na spotkaniach organizowanych przez Jolę Mieczkowską, Teresę Dzierwę, Hanke Kapałczyńską, Zbyska Korolewicza, Ryska Mądrego, Krzyska Błażejczyka. Sporadycznie uczestniczą Lucyna Wawer, Zbyszek Trojanowski, Kornel Stasiński, Aleksander Bąk, Iwona Cierech, Małgosia Kamińska, Lidzia Gidlecka, Stenia Żemojtel.

Niektóre ze spotkań zostały opisane w „Głosie Pomorza” przez dziennikarkę Ewę Dubois (Ewa Borowska z I C). Właśnie mam przed sobą jeden z tych artykułów z 11–13 sierpnia 2006 roku o wzruszającym tytule: „Kołobrzeg. Pierwszaki sprzed 46 lat na spotkaniu z Wychowawczynią. Wystarczy jeden telefon naszej Pani...”. Publikację ozdabia duże zdjęcie byłych uczniów z klasy I C, a wspomnienie zaczyna się tekstem: „Pani Alicja Michałowska od ponad 30 lat mieszka w Lublinie, ale wystarczy, że przyjedzie na wakacje do Kołobrzegu, a jej uczniowie bez wahania biegają na spotkanie. Kto nie może, to choćby telefonicznie łączy się z resztą, by przez chwilę poczuć radość wspólnych pogaduszek i wspomnień sięgających roku 1960, gdy w Kołobrzegu otwierano pierwszą Tysiąclatkę. Byli jej pierwszymi uczniami. Przyjaźń, która się wtedy nawiązała, trwa do dziś. Wystarczy jeden telefon – i są gotowi na spotkanie”.

Moje kontakty z uczniami nie sprowadzały się do nauczania, lecz obejmowały także różne oddziaływania wychowawcze. Należały do nich choćby przedstawienia, w których brali udział moi wychowankowie. I tak wystawialiśmy sztuki Janiny Porazińskiej (Szewczyk Dratewka) Ewy Szelburg-Zarembiny (Za siedmioma górami), Marii Kownackiej (O Żaczku Szkolaczku i Sowizdrzale, co jeden kochał szkołę, a ten drugi wcale), Hansa Christiana Andersena (Królowa śniegu). Mali aktorzy grali znakomicie, a widzowie najczęściej w tym samym wieku, nagradzali ich rześzystymi oklaskami.

Kiedy moi uczniowie z klas pierwszych nieco podrosli, zainteresowałam ich ojczystą przyrodą. Prezesem Koła Ochrony Przyrody został wspaniały uczeń, niezwykle zdolny i obowiązkowy Ryszard Mądry (późniejszy absol-



Alicja Michałowska z uczniami klasy I c

went Wydziału Rybołówstwa Akademii Rolniczej w Szczecinie). Pomagał mi organizować liczne wycieczki przyrodnicze do nadmorskich parków, a także Warszawy, Krakowa, Szczecina. W tym ostatnim mieście nawiązaliśmy kontakt z podobnym kołem w klasie III szkoły podstawowej dzielnicy Pogodno. Przewodziła je moja serdeczna przyjaciółka z czasów Liceum Pedagogicznego w Sulechowie, Irena Mroczek. Nasze koło na apel tygodnika „Przekrój” posadziło w Kołobrzegu 100 krzewów róży marszczonej wokół szkolnego boiska sportowego oraz wiele jarzębin, brzoź i innych drzew. Ilekroć spotykam Ryszarda, zawsze znajdujemy czas, by powspominać Tysiąclatkę, gdy byliśmy młodzi, pełni zapału i sił.

Kołobrzeg w tamtych latach zajmował już na mapie uzdrowisk poczesne miejsce. Przyjeżdżało z każdym rokiem coraz więcej kuracjuszy, którzy m.in. dzięki unikalnemu mikroklimatowi poprawiali swój stan zdrowia. Stali mieszkańcy byli przeciwni nalotowi tej „stonki”, bowiem władze nie uwzględniały znacznie zwiększonej liczby ludności i nie przydzielały odpowiedniej ilości mięsa i wędlin. Sanatoria miały pierwszeństwo w zakupie tych produktów, w efekcie czego dla miejscowych pozostawały nędzne resztki. Były wprowadzane w sklepach ryby, ale ich asortyment nie odpowiadał gustom i potrzebom konsumentów. W niektórych okresach roku w sklepach były prawie wyłącznie wędzone szprotki. Rybacy łowili je wówczas w ogromnych ilościach. Były to prawdziwe „szprotkowe żniwa”. Miejscowe zakłady połowowe nie nadążały z wędzeniem rybek, ale nie mogły od-



Budynek przy ul. Lenina, miejsce zamieszkania A. i C. Michałowskich



Alicja Michałowska z uczennicą Lidzią Gidlecką w klasie I c



Uczennice z klas II i III szkoły nr 4 w trakcie występu

mówić ich przyjęcia, bowiem wynagrodzenie rybaków zależało od efektów ich pracy. Im więcej złowili i dostarczyli do własnych przedsiębiorstw, tym więcej zarobili. Ze względu na brak specjalistycznego transportu nie można było tych nadmiernych ilości wyeksportować w inne regiony kraju, gdzie szprotki były rarytatem. Coś jednak trzeba było z nimi zrobić, bo ryby szybko się psuły. I wówczas odpowiedzialni ludzie wpadli na pomysł genialny w swej prostocie. Ryby należy zakopać w rzadko uczęszczanych lasach. Najlepiej w bliskości lotniczej bazy wojsk radzieckich, czyli w Bagiczu. Kiedy już wypełniono kilka ogromnych dołów, zasypało je dokładnie ziemią i zamaskowano, stało się nieszcześnie. Dowództwo wojsk sojusznika zarządziło niespodziewanie manewry z udziałem piechoty i tanków. Jeden

było wiadomo o dawkach tego nawozu w czystym składniku na jednostkę powierzchni (co za język!). A owo doświadczenie mogło zrewolucjonizować technologię i obowiązujące hasło „ziemia żywi, a morze bogaci” nabrałoby innego wymiaru.

Na podaż ryb niewątpliwie pewien wpływ miały ucieczki rybaków na Zachód, głównie Bornholm. Nie były one jednak masowe ze względu na czujność Służby Bezpieczeństwa i wojsk Ochrony Pogranicza dysponujących okrętami patrolowymi. Nawet wejście na plażę było po zmroku zakazane, a piasek codziennie wieczorem bronowano, by potencjalny uciekinier pozostawił widoczne ślady.

Pamiętam, jak jeden z takich nielegalnych emigrantów wrócił po kilkumiesięcznym pobycie na tej duńskiej



Spotkanie po latach z uczniami klasy I c ze szkoły nr 4 w Kołobrzegu (r. 2008)

z czołgów przypadkowo wjechał na zaminowany rybnym teren i ugrzązł. Gąsienice jak szalone obracały się w mazi ziemno-rybnej, a potężna maszyna stała w miejscu. W końcu przy pomocy kilku innych czołgów udało się ją z tej pułapki wyciągnąć. Wybuchł skandal międzynarodowy, ale udało się go jakoś załagodzić. Po jakimś czasie mój mąż Czesław, wówczas pracownik Inspektoratu PGR, przyniósł do domu wiadomość, że przedsiębiorstwo połowowe bezpłatnie oferuje duże ilości szprotek gospodarstwu rolnym. Niektóre z nich skorzystały z oferty i użyły dostarczone ryby jako nawozu pod ziemniaki. Jednak dyrektor inż. Józef Pożerski zabronił tej innowacji, bowiem jej skutki nie były w literaturze fachowej opisane. W przypadku spadku plonów bulw i niewywiązania się z planów dostawy groziły surowe konsekwencje. Jesienią, po zbiorze ziemniaków mąż próbował określić wpływ tej nowej technologii na plonowanie, ale nic z tego nie wyszło, bowiem – jak się wówczas fachowo wyraził – nie

wyspie oświadczając, że w kapitalizmie czuł się fatalnie, bowiem panuje tam powszechny wyzysk człowieka przez człowieka, terror tajnej policji i niski poziom życia. Rybak był obwożony po różnych miejscowościach wybrzeża koszalińskiego, w których wygłaszał przed publicznością swoje opinie o pobycie na emigracji. Był przez aparat propagandowy fetowany i cieszył się pełnym zaufaniem Służby Bezpieczeństwa. Pewnego dnia zniknął wraz z rodziną. Okazało się później, że wrócił do Kołobrzegu wyłącznie po to, by razem z najbliższymi powtórnie potajemnie wyemigrować na tę samą wyspę.

Kilkakrotnie wyjeżdżaliśmy za granicę za pieniądze uzyskane z wynajmowania mieszkania turystom. Nie był to intratny interes, bo przypadkowi lokatorzy nie płacili dużo, a czasami potrafili nieco mieszkaniu zrujnować. Jeździliśmy z córkami najczęściej prywatnie do Czechosłowacji, Związku Radzieckiego, NRD, Węgier, a nawet Bułgarii. W Związku

Radzieckim (Litwa) miałam rodzinę, której nie udało się wyjechać do Polski po wojnie, a w Czechosłowacji znajomych mojego męża. Poznał ich dzięki periodykowi „Dookoła Świata”, który pośredniczył w kontaktach pomiędzy hobbystami. Havel mieszkający z rodziną w Zatcu był filatelistą i numizmatykiem, podobnie jak mój mąż. Urodził się na Wołyniu w czeskiej kolonii, dobrze znał język polski i był przyjacielem naszego kraju. Miał uroczą młodszą siostrę Zosię, która pragnęła podkształcić się w znajomości języka polskiego. Przyjęliśmy Zosię do swojego domu, a mąż załatwił jej pracę w charakterze kelnerki w nowo-wybudowanym hotelu Skanpol będącym wizytówką miasta. Po jakimś czasie Zosia zrezygnowała z tego zajęcia i wróciła do swojego domu. Okazało się, że cudzoziemkę personel na każdym kroku szykanował i oszukiwał. Została nawet okradziona ze sztućców, które były własnością hotelu. Musiała za nie zwrócić poważną kwotę. Na domiar złego raził ją kuchenny brud, fałszowanie rachunków i niska jakość posiłków niezgodna z tzw. gramaturą. Wyjechała z fatalną opinią o Kołobrzegu. Do dzisiaj pisujemy do siebie i zapraszamy do odwiedzin w Lublinie. W grudniu 1970 roku wybuchły w Gdańsku zamieszki przeciwko podwyżkom cen artykułów żywnościowych i sposobom sprawowania władzy przez aparat partyjno-administracyjny. Miały bardzo krwawy i brutalny przebieg. Do Kołobrzegu docierały fragmenty niepotwierdzonych przez media doniesień o wielu zabitych i rannych demonstrantach bądź przypadkowych przechodniach oraz licznych aresztowaniach. Dr Gidlecki, ojciec mojej uczennicy Lidki i naczelnik lekarz Uzdrowiska był świadkiem tych wydarzeń. Opowiedział mi o ich przebiegu i prosił o pełną dyskrecję. Oboje z mężem byliśmy wstrząśnięci skalą represji i jej natężeniem. Nie mogliśmy się powstrzymać przed ujawnieniem znajomym przekazanych faktów, chociaż nie było to bezpieczne.

W Kołobrzegu, ze względu na znaczącą funkcję uzdrowską, pracowało wielu lekarzy. Większość z nich cieszyła się uznaniem i sympatią pacjentów. Do wybitnych postaci, nie tylko z powodu znajomości sztuki lekarskiej, ale i „judy-

mowskiej” osobowości z pewnością zaliczyć można dra Zygmunta Maja – pediatrę, dra Kuczyńskiego – fizyjatę, dr Irenę Kapałczyńską – radiologa. A także wielu innych, wszystkich nie sposób wymienić. Korzystaliśmy z ich wiedzy i opieki szczególnie w czasie chorób córek. Bliskość otwartego morza była niewątpliwą zaletą, ale sprawiała również pewne problemy zdrowotne. Jesienne i wiosenne sztormy, duża wilgotność powietrza, niska temperatura wody były częste, mi przyczynami chorób naszych dzieci i męża. Jak twierdzili niektórzy mieszkańcy, w okresie międzywojennym panowała opinia o konieczności zmiany klimatu po 10–15 latach pobytu. My również zaczęliśmy powoli o tym myśleć. Jednak przeprowadzka do Lublina nastąpiła z zupełnie innych powodów. W roku 1973 władze szkolne powierzyły mi stanowisko dyrektorki szkoły nr 3. To była duża szkoła w samym centrum miasta, mieściła się w budynku, w którym poprzednio było również Studium Nauczycielskie. Uczyło w nim wielu wybitnych profesorów, którzy dobrze zasłużyli się oświacie i miastu. Należą do nich m.in. Janina Marmurowska – psycholog, Władysław Brzeziński – polonista, badacz gwary kaszubskiej, autor wielu publikacji z dziedziny językoznawstwa, Zygmunt Sotomski – wykładowca filozofii i historii, działacz Związku Nauczycielstwa Polskiego, Ludwik Piętka – artysta rzeźbiarz, twórca brązowych drzwi bazyliki i Stacji Drogi Krzyżowej odznaczających się wielkim artyzmem. Artysta ofiarował mi piękny miedziany kinkiet, którego kształt symbolizuje pierścień zaślubin Polski z morzem. Mam go w domu do dzisiaj.

W roku następnym wystąpiłam do Kuratorium z wnioskiem o nadanie szkole imienia Marynarzy Polskich. Uzyskałam poparcie Związku Nauczycielstwa Polskiego i miejscowych władz. 27 grudnia 1974 roku otrzymałam zgodę Urzędu Wojewódzkiego w Koszalinie, a 23 kwietnia następnego roku odbyła się uroczystość oficjalnego nadania szkole Imienia. W pięknie udekorowanej sali zgromadzili się uczniowie, nauczyciele, przedstawiciele miejscowych władz oraz Marynarki Wojennej i Handlowej, sponsorzy. Po moim przemówieniu przekazałam sztandar z pięknie wyszytym Godłem Państwa i hasłem Honor – Nauka – Praca uczniowskiemu samorządowi.

Szkolny chór odśpiewał pieśń z refrenem: „Biją serca/ Serca rade/ to nasza duma i cześć/ Wysoko, wysoko/ Zawsze będziemy/ Go nieść”. Następnie odbyło się wbicie gwoździ w drzewce sztandaru z imionami i nazwami sponsorów, a także odsłonięcie tablicy wmurowanej uprzednio w ścianę budynku, z napisem: Szkoła Podstawowa nr 3 im. Marynarzy Polskich. Uroczystość zakończyła część artystyczna w wykonaniu uczniów.

Kilka dni później w „Głosie Koszalińskim” ukazała się szczegółowa relacja z tej uroczystości napisana przez redaktor Mirosławę Żółtak.

Przez cały okres pobytu w Kołobrzegu, a liczył on aż 15 lat, czułam się w tym mieście i pracy, mimo początkowych trudności, bardzo dobrze. Po urodzeniu drugiej córki Joanny Dobrochny otrzymaliśmy dwupokojowe mieszkanie przy ulicy Lenina. Jak na owe czasy obszerne, bo liczące około 40 m, co odpowiadało ustalonym normom przydziału. W pracy byłam ceniona, czego wyrazem były nagrody Ministra Oświaty (3 indywidualne i jedna zespołowa). Te wysokie oceny zawdzięczam w dużej mierze moim współpracownikom, wyśmienitym pedagogom; ze szkoły nr 4 m.in. Marii Kunie, Alicji Huttner, Sabinie Walkowiak, Irenie Krystyniak, Piotrowi Konarskiemu, Marii Kulikow, Krystynie Paszkiewicz, a ze szkoły nr 3 Mirosławie Dzionk, Halinie Dutkiewicz, Brygidzie Nowosadko, Jerzemu Chruściewiczowi, Stanisławowi i Ludwikowi Piętkom, Danucie Kowalczyk, Jadwidze Prysmon, Bronisławie Feldzensztajn, Monice Powierży, Andrzejowi Pyszorze, Antoniemu Szarmachowi. Poza personelem pedagogicznym słowa uznania kieruję również do pracowników administracyjnych, a mianowicie Heleny Iwanowej i Antoniego Cybularczyka.

Obok pracy zawodowej nie zapomniałam o stałym dokształcaniu. W Słupsku ukończyłam zaocznie Studium Nauczycielskie, a następnie Wyższą Szkołę Nauczycielską, natomiast dyplom magistra uzyskałam na Wydziale Pedagogiki i Psychologii UMCS po obronie pracy na temat sześciolatków w roli uczniów (r. 1976). Nauka pochłaniała wiele czasu i wymagała sporego wysiłku intelektualnego i fizycznego. Do Słupska jeździłam na zajęcia i egzaminy z Asią karmioną jeszcze piersią, co wywoływało niejaka sensację wśród

personelu uczelni i studentów. W tym samym czasie mąż rozpoczął studia na Wydziale Rolniczym WSR w Szczecinie, mając ukończone studia w Lublinie na Wydziale Zootechnicznym, następnie doktoryzował się w Wyższej Szkole Rolniczej w Lublinie (promotorem był doc. dr hab. Leszek Malicki).

Nauka, prowadzenie doświadczeń terenowych, wyczerpująca praca zawodowa nadwątlily zdrowie męża. W następstwie stwierdzonej gruźlicy płuc mąż przebywał na leczeniu w sanatoriach koszalińskich i Głuchołazach przeszło pół roku. Był to dla mnie bardzo ciężki i wyczerpujący okres życia. Przyszło mi w tym czasie być na nogach od wczesnego rana do późnej nocy. Opieka nad małymi córkami, z których młodsza często chorowała, utrzymywanie mieszkania w jakim takim porządku, praca zawodowa, to wszystko było dosłownie ponad moje siły. Niekiedy pomagała mi mama Stefania, która przeprowadziła się z Klenicy i zamieszkała u mojej siostry Krystyny i jej rodziny w Kołobrzegu.

Pewnego dnia r. 1972 męża, który oficjalnie starał się o wyjazd do instytutu koło Hamburga celem przeprowadzenia doświadczeń będących kontynuacją badań zapoczątkowanych pracą doktorską, Służba Bezpieczeństwa (kontrwywiad) oskarżyła go o kontakty z wywiadem zachodnoniemieckim. Po kilku przesłuchaniach mąż zrezygnował z wyjazdu do RFN. Szykany ze strony politycznych i administracyjnych władz powiatu i województwa grożące usunięciem z pracy w szkolnictwie i być może sądowymi konsekwencjami absurdalnych oskarżeń zadecydowały o skorzystaniu z oferty lubelskiej uczelni rolniczej i przeniesieniu się do tego miasta. Mąż wraz z córką Iwoną wyjechali w r. 1973, ja z Asią dwa lata później. Nie udało się nam, niestety, zamienić mieszkania. Nikt nie chciał się przeprowadzić z Lublina do Kołobrzegu, głównie ze względu na przekonanie o tymczasowości zachodnich granic Polski. Jeszcze w początkach lat siedemdziesiątych ubiegłego wieku była to opinia dość powszechna.

Uczelnia bezpłatnie pomogła nam w przeprowadzce do Lublina, do którego mąż przed laty postanowił kiedyś powrócić.

*Alicja Michałowska*